№ 32. Warszawa, dnia 27 Lipca (8 Sierpnia) 1874 roku.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

Prenumerata wynosi: w WARSZAWIE kwaetalnie rs. 1 kop. 80.—Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 k. 50. Numer pojedynczy k. 15.—w POZNANIU prenumerować można w księgarni Leitgebera;—w KRAKOWIE przesyłając należytość do A. Nowoleckiego w wydawnictwie Czytelni ludowéj lub wprost do Redakcyi w Warszawie. Przedpłata dla GALICYI z przesyłką pocztową kwartalnie zlr. 4. W KRAKNWIE zlr. 3. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie Ulica Żabia Nr 956 (nowy 6) dom narożny przy targu.

Treść Numeru: Nowe Marnotrawstwo.—Dzisiejsza Beatrix, (wiersz), p. *Starego Bociana*—Orzeł i gołąbka, powieść z francuzkiego przełożona przez H. K. (ciąg dal.). —List drugi z Chicago przez Sigurda Wiśniowskiego.— Szkic literatury Rossyjskiej.— Przegląd literacki.— Korresponaencya z Londyuu —Wladomości bibliograficzne.— Zycie za życie powieść z Angielskiego, przekład Joanny Belejowskiej.—Przytem dodatek z drzeworytami.

NOWE MARNOTRAWSTWO.

Powiadają, że się nie zalecamy oszczędnością: być może, ale Bogiem i prawdą nie zupełna w tem nasza wina! Okoliczności wyrabiają cnoty i błędy społeczne, a raczej ułatwiają ich rozwój, jedne silniej, drugie słabiej wspomagając. Żołnierz, marynarz, z bardzo małym wyjątkiem nie lubią oszczędzać, bo co im po zasobach, gdy w każdoj chwili życie ich może być na hazard wystawione? Z nieszczędności krok tylko do marnotrastwa: wydając wszystko co do grosza, powab zamożności nieznany bywa, tylko przyjemność, jaką pieniądz za wartość swoją przynosi. Łaknienie więc jej wzmaga się, czas zbyt długim się zdaje, i co jutro ma się wydać lub za tydzień, trwoni się dziś bez żadnej nad sobą litością. Można wprawdzie nie uledz temu błędowi, bo rozum powinien być wyższym nad potęgę okoliczności, ale do niego nie przychodzi się tak łatwo, żeby aż stał się wszechwładnym panem nawet owej potęgi zwanej okolicznościami, a bijącej jakby taranem z wieku na wiek, z pokolenia, na pokolenie.

Marnotrawstwo jednak, pod względem materyalnym, jakkolwiek zgubne w swych następstwach, stokroć jest zgubniejszem, w świecie moralnym, w świecie ducha, który pracy społecznej przyświeca i wskazuje drogi, na jakich rozwijać się powinna. Dziś na nieszczęście w błąd ten wpadamy, a jeżeli w każdem niebezpieczeństwie, przestroga jest obowiązkiem, godzi się i o tem słów kilka powiedzieć.

Wiemy to dobrze, że literatura jest obrazem myśli społeeznej, że rozwój jej pomyślny jest miarą ogólnego postępu, bo mu służy za pochodnię i wskazówkę.

Prace piśmienne większych lub mniejszych myślicieli, obudzając podziw, uwielbienie, lub tylko zadowolenie, wsiąkając w ogół, prostują pojęcia, uszlachetniają serea, wykorzeniają błędy, słowem zaszczepiają zamiłowanie piękna, dobra i prawdy, i zasobami ich choćby po najmniejszej okruszynie składanemi, zwiększają w społeczności zasób bogactwa moralnego, które wszelkich innych bogactw jest twórcą i przewodnikiem.

Ale myśliciel taki, czyli jak zwyczajnie mówimy literat, aby oddziaływał tak zbawiennie na ogół, musi być koniecznie potężniejszy moralnie od innych, a do tego dochodzi tylko wytrwałą pracą naukową i poznaniem siebie samego jak największem, przez czas i doświadczenie. Talent sam nic tu nie paradzi, jest on tylko materyałem, a kunsztmistrzem tworzącym z niego arcydzieła, rozumna głowa, umiejąca patrzeć i sądzić, rozważać i doradzać. Zwykle zdradza swoją bytność przed dojrzałością umysłową, i wyrywając się do przedwczesnego działania, naraża tem samem posiadacza jego na wielkie niebezpieczeństwo.

Pierwszy oklask, pierwsza pochwała, to zdobycz bardzo ponętna. Zobaczyć się zaraz wstępującym w grono ludzi, których kraj cały czcią otacza, wyjść nagle z młodzieńczej nicości w szranki sławy i jawności, czyż nie można shardzieć i obałamucić się. Wyrasta z tego zarozumiałość, jako proste następstwo oszołomienia, to przeszkoda do wszelkiego dalszego kształcenia się, przeszkoda tem niebezpieczniejsza, im talent mniejszej potęgi.

Geniusz ma swoje własne drogi, któremi postępuje; jedna myśl pochwycona, jedna książka staranniej przeczytana, jedna czasem mała okoliczność, ocuca go, odsłania nagle jak błyskawicą wielki horyzont i pozwala mu zobaczyć i zrozumieć to, czego inni przy największej pracy przez całe życie zobaczyć i zrozumieć nie mogą. Sto razy potknąwszy się, sto razy sam o własnej sile podniesie się; z jednego słowa odgadnie treść całego tomu, z jednego tomu, prace wieku, a z niego, wszystkich lat, co go poprzedziły. Nic go nie powstrzyma, nic nie zniszczy ognia myśli wrzącej w jego duszy, bo ta jak lawa podziemna, jeżeli nie znajdzie szczeliny do wydobycia się, sama ją wyszczerbi i wytryśnie na zewnątrz! Z talentami rzecz się inaczej dzieje; te wymagają szczególnej pieczołowitości, aby nie zmarniały. Siła ich mniejsza, więc i starania o ich wzmożenie większe być powinny, a dopełnia tego praca naukowa i czas, bogacące w zasób myśli i nadające gętkość i rozciągłość, przy których talent z pożytkiem ogólnym staje się działającym. Kto ma uczyć drugich, musi sam umieć wiele, kto ma wytykać błędy społeczne i wskazywać drogi właściwego postępowania, powinien znać je, znać siebie, o ile można najlepiej i umieć patrzeć na siebie i na drugich okiem rozumnego krytyka. Czyż młodość, choćby i talentem obdarzona, może spełnić dwa te wielkie zadania? Nie mając jeszcze sama czasu do rozpatrzenia się w sobie i w koło siebie, czyż może uczyć drugich i wytykać błędy, jakich dobrze nie poznała?

Jak się dzieje w innych społecznościach, nie wiemy, ale u nas garnienie się do pióra i pragnienie zdobycia jak najprędzej sławy literackiej, stało się prawie chorobą.

Młodzieńcy już na ławie szkolnej próbują sił swoich, nawet czasami dzieci zaledwie pisać umiejące [1]). Panienki szesnastoletnie, nie ustępując im pierwszeństwa, biorą się także za pióra i piszą powieści. Młodzież wyszła świeżo z uniwersytetu, obiera sobie stan literata, jak każdy inny, jeżeli nie na zawsze, to przynajmniej chwilowo, dopóki przywilej patantu nie da im miejsca chlebodajnego. Są-to wszystko zapewne talenta i zdatności poczuwające się w swym bycie, więc łaknące działalności, ale czyż takie iskierki z czasem dopiero mogące w płomień się zamienić, mogą dać pismom coś rzeczywiście dobrego? Uczeń i dziecko da ramotę szkol-

[1]) Możemy zaręczyć, że nie przesadzamy, gdyż posiadamy próbki autorskie pisane literami niemal kaligraficznemi.

ną, panienka utwór podobny do owocu przed dojrzeniem opadłego: student lichą kompilacyą, a jeżeli wystąpi z jaką społeczną kwestyą, widnieć w niej będą wszystkie niedostatki głębszego na rzeczy poglądu. Jeszcze pół biedy, jeżeli prace podobne ograniczą się na gronku czytelników przyjacielsko dla autora usposobionych, ale jeżeli okażą się w druku choćby poprawione i przerobione, młody autor kładąc poprawki na brak wprawy potrzebnej, pewny jest, że teraz już mu tylko pisać należy, i pisze, sprzecza się z wydawcami, dziwi się ich niechęci w popieraniu młodocianych talentów i póty zabiega się i stara się, póty sam już poprawia, i przerabia, aż znów dostanie się na widownię publiczną. Tym sposobem nabywszy pewnej rutyny, a wsparty okruchem nauki z uniwersytetu wyniesionej, dorywczem dzieł przeglądaniem, i życiem w pośród literackiej atmosfery, zostaje wreszcie pseudo literatem. O dalszem zatem kształceniu się nie ma już mowy, przerzuca się tylko i przegląda literaturę bieżącą, aby choć wiedzieć, co piszą i o czem; chwyta zdania śmielsze, rozszerza je, przykłada do innych, wzrusza ramionami i na tem koniec, bo uczyć się na nowo już się nie chce, a nauczyć się czegoś ale dobrze, za wielka praca. Mamy też literatów tak nic nie znających dziejów własnego kraju i historyi jego literatury, że aż dziwić się potrzeba, jak mogli zostać literatami. Brak sposobności nie usprawiedliwia tego: do każdego stanu są przywiązane pewne warunki, niezbędne do spełnienia. Dla literata, aby odpowiedział godnie swemu zadaniu, konieczną jest znajomość swego społeczeństwa w całym rozwoju jego duchowym od kolebki aż do obecnej chwili. Kto jej nie posiada, będzie literatem, ale nie twórczym, najwyżej, jeżeli się usposobi na kompilatora lub tłomacza. Wprawdzie i tacy są pożyteczni, ale twórczość dopiero tworzy postęp, bo na własnym gruncie, z własnej myśli wrosłej w całą przeszłość i obecność, zaszczepia nowe idee przez całą ludzkość wyrabiane.

Dzisiejsza Beatrix.

Jego kochanka,
Ziemianka,
Za światem przepada;
Bez ludzi
Się nudzi
I z wieszcza nie rada.
Jej trzeba
Nie nieba,
Nie gwiazdek, obłoków,
Lecz fantów
Brylantów,
Szenjonów i koków.
Rozkoszna dzieweczka!
Cukierki, ciasteczka
Przyjmuje ze szczerym zapałem,
Lecz gardzi sonetem,
Sielanką, bukietem,
A nawet — wejrzeniem nieśmiałem.
On w oczy
Proroczy...
Że jego królową zostanie,
A ona,
Szalona!
„Nie wierzę", — powiada, — „mój panie".
„Jam szczera,
„Bankiera
„Być wolę poddanką wzorową,
„Niż twoją, poeto,
„Smieszny wierszokleto,
„A nawet wszechwładną królową..,
On woła:
— Anioła
Sądziłem, że w tobie znajduję.—
A luba odrzecze:
„Zapalny mój człecze,
„Ja twoje dochody rachuję.
„Twe wiersze
„I szersze,
„I krótkie i mierne,
„Choć w druku
„Bez huku,
„Snać bardzo mizerne.
„Przez lata
„Nie złata
„Funduszu poeta
„A przecie,
„Jak wiecie,
„Jeść musi kobieta.
„Pisz prozą,
„Zkąd wiozą
„Nam różne towary....
„Przyroda
„Dziś młoda,
Poeta już stary.
„Pisz wiele,
„Że cele
„Ludzkości w żołądku,
„Że ciało
„Powstało
„Przed duchem z początku.
„Prawd szuka
„Nauka,
„Dziś jasno dowodzi,
„Zkąd *mowa*
„I *głowa*
Człowieka pochodzi.—
„Lecz mrzonki
„Dla żonki
„Nie dadzą warkocza,
„Stanika,
„Bucika,
„Liberyi i kocza."
On jęknie:
—Niepięknie
Dowodzisz cherubie,
Marzeniem,
Cierpieniem
Ja ciebie nie zgubię.
Mnie z doli
Pierś boli,
Więc westchnę i marzę;
Ich życie
W przesycie,
Więc bluźnią małpiarze;
Choć żyją,
Dobiją
Każdego co żyje,—
W zamęcie
Pojęcie
Doreszty przegnije.—
„Dość tego
„Wszystkiego!
„Dla ciebiem nie żona..
„Sokole!..
„Być wolę....
W wir ziemi wpatrzona.—

Stary Bocian.

ORZEŁ I GOŁĄBKA

POWIEŚĆ

PRZEZ

Panią Zeneidę Fleuriot.

DZIEŁO UWIEŃCZONE PRZEZ AKADEMIĘ FRANCUZKĄ

przekład **H. K.**

(Dalszy ciąg).

VIII.

CZUŁA STRUNA.

Po tej rozmowie panna Katarzyna była tak milcząca, jak Marya-Ludwika, a Anna tak, jak panna Katarzyna. Rozmawiano tylko w dniach odwiedzin pań Drassart, które niespodzianie żywą do Anny poczuły sympatyę i wpadały na parę minut do cichego saloniku, światowym gwarem go napełniając. Wizyty owe bardzo pannę Katarzynę męczyły, a jednak Anna zdawała się z umysłu je pomnażać, oddając je z pośpiechem jej niezwykłym. Anna bowiem nie wyrzekła się zamiaru pojechania z Henrykiem do Paryża, i pierwszy raz w życiu wszelkich starań dokładała, aby przemódz opór panny Katarzyny. Co wieczór gdy odprowadziła swoją szanowną ciotkę do jej pokoju nie omieszkała przez drzwi na pół otwarte wyrzec te słowa:

— Ciocia rozważy moją prośbę, nieprawdaż?

Przez dwa tygodnie suchy kaszel był jedyną odpowiedzą panny Katarzyny.

Henryk nie domyślając się bynajmniej zamiarów Anny, dzielił swój czas pomiędzy Kerlouis, dokąd jej towarzyszył i przygotowaniem do wyjazdu. Rzadko kiedy ukazywał się u panny Katarzyny, która ze swojej strony bardzo zajętą była sprzedażą biura notaryalnego. Henryk także energicznie wziął się do tego, czuć było, że pragnie wszystko jak najprędzej ukończyć, uciec od próżnych żalów i smutnych przeczuć Anny i swoich może.

Raz już o zmroku, przybiegł do panny Katarzyny. Anna tylko co była zapaliła łojową świeczkę, źle oświetlającą duży milczący salon.

— Ciotko, znalazłem nabywcę na moją posadę—zawołał zaraz na wstępie, opierając się o komodę stojącą naprzeciw kołowrotka panny Katarzyny.

Panna Katarzyna znajdując tę wiadomość ważną, wstrzymała i rękę i nogę kręcącą kołowrotek.

— Czy nabywca na prawdę? — zapytała.

— Na prawdę.

— Wypłacalny?

— Najzupełniej.

— Czy człowiek zdolny? Nie trzeba, aby posada do której nasze nazwisko było przywiązane, upadać miała w opinii.

— Bardzo zdolny. Nabył na początku małe wiejskie biuro, tam mu się poszczęściło, a teraz kupuje moje i dobrze płaci.

— Ileż Henryku?

— Czterdzieści tysięcy franków.

Panna Katarzyna głową potrząsła z rodzajem zadowolenia i powiedziała:

— W twych rękach Henryku, wartość się jego podniosła.

Zdjęła okulary spojrzała uważnie na synowca i dodała:

— Porzucasz rozpoczęty już majątek.

Henryk milczał.

— Kiedyż akt sprzedaży podpisujecie?—ciągnęła panna Katarzyna, widząc po tem milczeniu, że postanowienie Henryka jest niezłomnem.

— W tej chwili, czekałem tylko na twoje ciotko zezwolenie.

— Daję ci je. Czterdzieści tysięcy, to dobra cena. Kiedyż jedziesz?

— Za tydzień, jeżeli ciotka pozwoli.

Panna Katarzyna zwróciła się do Anny szyjącej w milczeniu na swojem zwykłem miejscu.

— Czy bielizna Henryka wyprasowana? zapytała.

— Zupełnie gotowa—moja ciotko.

Panna Katarzyna popatrzyła na Henryka i porządkując kądziel na kołowrotku rzekła:

— A więc jesteś już wolny.

I dalej prząść poczęła.

Henryk opuścił pokój i drzwi się jeszcze za nim nie zamknęły, gdy Anna stała już przed panną Katarzyną w postawie, która natychmiast zwróciła uwagę starej panny, gdyż opuściła rękę kręcącą len biały i cienki.

— Jeszcze?—powiedziała głosem dobitnym.

Tak jeszcze—odrzekła Anna, której usta drżały;— idzie tu o honor Henryka, o jego majątek.

— Od dwóch tygodni powtarzasz mi to samo. To jest dzieciństwo, Anno. Mężczyzna powinien umieć zachować i jedno i drugie.

— A gdy je utraci w tem strasznem osamotnieniu, jakie go czeka w Paryżu?

— Mówiłam ci już, sam sobie będzie winien.

— Ciotko Katarzyno, miałam nadzieję, jeżeli nie przekonać, to przynajmniej wzruszyć cię—mówiła dalej Anna z oczami łez pełnemi—widziałaś z bliska osoby które go do Paryża ciągną, rozumiesz więc, jakie go tam niebezpieczeństwa oczekują. Mam przekonanie, przeczucie jakieś, że moja obecność będzie dla niego pomocą i obroną.

Panna Katarzyna patrzyła na młodą dziewczynę okiem przymglonem, w którem widzieć się dawał jakiś rodzaj wahania się; wyschłą ręką przyciskała czoło, jak gdyby chciała zatrzymać wolę, co ją odbiedz miała.

Znaczenie tego spojrzenia i tego giestu nie uszło uwagi młodej dziewczyny.

— Ciotko Katarzyno, czy przyjmiesz na siebie tę odpowiedzialność?— ciągnęła Anna składając ręce.— Ach! pomyśl tylko, mniejsza z tem, gdy majątek jego będzie zagrożony, ale i jego wiara zachwianą być może. Tylu ludzi żyjących w Paryżu staje się odszczepieńcami; ci którzy opanowali Henryka przestraszają mnie, wierzaj mi ciotko, z temi ludźmi, on wiarę swą zatraci.

Żywy rumieniec pokrył czoło panny Katarzyny, jakby dreszcz przebiegł pod jej czarnym wełnianym szalem. Anna najczulszą strunę poruszyła w ciotce.

— Dla mnie w tem leży największe niebezpieczeństwo—dodała przeczuwając wrażenie jakie wywołała—taki-to skutek wywierają pewne paryskie towarzystwa. Nie wiem, jak ci ludzie do tego się biorą, nie wiem, jakich naigrawań się, jakich kłamstw używają, lecz zabijają, przynajmniej na czas jakiś wiarę w duszach tak prostaczków jak i najmędrszych, najintelligentniejszych ludzi. Gdybym więc była w Paryżu, prowadząc przy Henryku nasze życie rodzinne, życie modlitwy, nie stałby się tak prędko niewiernym Bogu, a zdrajcą kościoła.

Tu umilkła.

Panna Katarzyna ust nie otwierała.

— Wieleby mnie kosztowało rozstać się z wami— powiedziała znowu Anna—rozstać się z tobą moja ciotko, to jedno najboleśniejszem dla mnie będzie.

Głos cichy i bardzo spokojny odpowiedział:

— Nie idzie tu o mnie, nigdym o sobie nie myślała.

— Pozwól mi iść w twoje ślady!—zawoła Anna z żywością.

Panna Katarzyna nic nie odpowiedziała, przez kilka minut pozostawała nieruchomą z głową spuszczoną na piersiach, lecz nagle podniosła ją mówiąc:

— Pozwalam ci więc; od kiedy widziałam ludzi, którzy go tam ciągną, dręczy mnie gorączkowy niepokój. Mogłabym przenieść jeszcze, gdyby Henryk stracił majątek, poważanie jakiego używa, honor swój nawet, ale nie przeniosłabym utraty jego wiary. Jeżeli dotychczas żaden z Darganeców nie był podłym, oszustem lub zdrajcą, to dla tego, że Darganekowie zawsze wiernemi byli Bogu.

— Pozostaje mi tylko otrzymać przyzwolenie Henryka—rzekła Anna, powstając z miłym uśmiechem na ustach.

— Idźże zaraz do niego i niechże się to już skończy—odpowiedziała panna Katarzyna, opierając nogę o pedał kołowrotka.

Anna przeszła korytarz po omacku, a znalazłszy się na dziedzińcu wysypanym piaskiem, podniosła głowę. Światełko migotało w jednem z okien sąsiedniego domu.

Młoda dziewczyna otworzyła drzwi prowadzące do wieżyczki, wbiegła na kręcone schody i weszła wkrótce do mieszkania brata. Henryk pisał przy biurku źle oświetlonem jedną łojową świecą.

Gdy drzwi zaskrzypiały podniusł głowę i spojrzał na siostrę.

— Co piszesz? — zapytała Anna.

Henryk zawahał się chwilę.

— Upoważnienie, które zostawiam, — cicho odpowiedział.

Anna oparła się o stos papierów wznoszących się w jednym rogu biurka i rzekła:

— Czy teraz szczęśliwy jesteś Henryku?

Henryk popatrzał na nią.

— Okropnie jestem nieszczęśliwy —odrzekł głosem goryczy pełnym—lecz gorzej byłbym nieszczęśliwy na miejscu; nieszczęśliwy między temi czterema lipami, nieszczęśliwy między temi czterema murami.

— Bez żalu opuszczasz Quimperlé?

— Tak, teraz bez żalu, później gdy zużyję wszystkie siły, energię, gorączkowe porywy mego życia, prawdopodobnie chętnie tu wrócę, bo kraj mój kocham namiętnie.

— Lecz życie paryzkie pociąga ciebie?

— Wzywa mnie, niosę mu moją wolność, usposobienie niepodległe, postanowienia niezłomne. Anno, ty mnie znasz, ty wiesz co mnie tajemnie dręczy, znasz rany serca mego pod tą pozorną spokojnością ukryte, wiesz, że mam w sercu wiele miłości i trochę żądzy wyniesienia się. Od dziś całkowicie oddany jestem chęci zajęcia w świecie odpowiedniego mi stanowisko, w tym świecie, w którym osobistości nie są tak uszykowane, jak szachy na szachownicy. Rozsądnie rzeczy biorąc, nie powinienem rzucać na szalę mego przeznaczenia twego przywiązania tak czułego, tak gotowego do wszelkich poświęceń, tych tysiącznych starań, któremi mnie otaczałaś, wspólnego zaufania, które tak dusze nasze ściśle połączyło; więc przyznam ci się szczerze, iż w rozpaczy jestem porzucać to wszystko i jechać do Paryża, aby żyć tam jakby paria jaki. A jednak inaczej być nie może.

Podczas gdy Henryk mówił, twarz Anny promieniała radością.

— Jeżeli mi swoje żale wypowiadasz — odezwała się — pozwól Henryku, że i ja moje wypowiem. Czy sądzisz, że bez ciebie życie w Quimperlé będzie mi znośnem?

Henryk zadrżał.

— Kobieta ma swe przyzwyczajenia, swe otoczenie, zajęcia—odpowiedział z lekkiem zakłopotaniem.— Tak mało żyjesz po za domem.

— Dlatego, że świat mój mam w domu. A któż jest tym światem? Nie ciotka Katarzyna, która trzy słowa na dzień wymówi; ani ciotka Marya Ludwika powtarzająca mi zawsze: „Czy pamiętasz?“ mówiąc o wypadkach zaszłych przed mojem urodzeniem; lecz ty Henryku, ty jeden tylko.

— A twoje przyjaciółki?

— Franseza za swietne prowadzi życie dla skromnych nawyknień moich, Ludwika wyjeżdża w tych dniach z Quimperlé, inne nie znają mnie prawie, a więc i nie kochają, i nie były towarzyszkami mego samotnego dzieciństwa.

— Masz Boga, Anno, mówmy poważnie. Czyż nie wiedzę że myśl o Bogu życie ci zapełnia?

— Bóg jest tak samo w Paryżu jak i w Quimperlé, Henryku.

— Cóż przez to chcesz powiedzieć?

— Że zdaje mi się, iż dobrzeby było, abym pojechała razem z moim drogim parią do Paryża, stworzyłabym życie rodzinne, jak je tu w Quimperlé mamy, i była siostrą i gospodynią mego brata w Paryżu, jak w Quimperlé nią jestem.

— Uszom mym wierzyć nie mogę! — zawołał Henryk wzruszony — nigdybym nie śmiał nic podobnego pomyśleć nawet.

— Do mnie też pierwszej należało ci to zaofiarować.

— Ciotka Katarzyna nigdy na to nie zezwoli.

— Już zezwoliła.

— Niepodobna?

— I chętnie zgodziła się nawet.

— Nie pojmuję!—odrzekł Henryk.—Chyba przerażająca myśl — dodał z uśmiechem, — że może mi zabraknąć bielizny lub białych kołnierzyków, mogła ją do tego nakłonić.

— Przywiązane serca myślą o wszystkiem.

— O tak! o wszystkiem — powtórzył rozrzewniony Henryk—jeśli tobie przyszła myśl towarzyszyć mi aż do Paryża. Lecz czyż mogę przyjąć tę ofiarę? Zajęcie interesami w Paryżu uczyni mi życie pochłaniające czas wszystek, większą część dnia będziesz samą.

— Mniejsza o to, byleby choć raz na dzień, tyś był przy mnie, a ja przy tobie.

— Byłbym szczęśliwy mając cię przy sobie, ale czy będziem mogli urządzić się tak w Paryżu z naszemi szczupłemi funduszami?

— Ja będę dla ciebie oszczędnością, zobaczysz — odpowiedziała Anna.

— Nie mogę się pogodzić z myślą widzenia ciebie zostającą dzień cały w jakiemciś pustem mieszkaniu, w towarzystwie jednej z tych kobiet paryzkich, o których nie masz wyobrażenia moja biedna Anno.

— Dlaczegożbym miała jedną z tych kobiet mieć przy sobie, Henryku?

— Trzebaż nam będzie służącej.

— A więc, wezmę z sobą Maję.

Henryk się uśmiechnął.

— Nie zechce opuścić Quimperlé, odpowiedział.

— Zechce to czego ja zapragnę, nie wiesz jak bardzo jest do nas przywiązana.

— Nastała chwila milczenia.

— Pomyśl jeszcze Anno — odezwał się Henryk — i jeżeli serca i odwagi ci nie zabraknie, ha! to jedź ze mną.

— Jam na wszystko gotowa Henryku— odrzekła Anna — bylem tylko jechała z tobą. Dobranoc ci bracie.

— Dobranoc, droga siostro; do jutra!

To ostatnie słowo doszło ją w chwili, gdy drzwi za sobą zamykała, otworzyła je więc na nowo i odpowiedziała.

— Tak, do jutra i na zawsze!

IX.

WYJAZD.

Ukazanie się panny Katarzyny w szlarkowanym odwiecznym czepku, atłasowej mantylce i z czerwonym parasolem w ręku, znowu całą ludność ulicy Zamkowej poruszyło.

Dla dzieci zwłaszcza panna Katarzyna była jakby jedną z tych zaczarowanych księżniczek, o których bajki rozpowiadają, że tylko ich zaczarowane zamki można widzieć, ale same nigdy się nie ukazują.

I rzeczywiście nigdy, gdyż panna Katarzyna wychodziła tylko w niedzielę na mszę do kościoła i to jak najraniej, a o godzinie ósmej już wracała właśnie w porze, gdy dziatwa przebudzać się zaczynała.

Dziś panna Katarzyna dąży do banhofu kolei żelaznej, gdyż Henryk i Anna jadą do Paryża, i jak dawniej odprowadzała do dyliżansu tych, co ją opuszczali, tak teraz odprowadza ich do przystanku tej lokomotywy, tej machiny, której nigdy nie widziała nawet na rysunku.

Nie chciała wsiąść do nowoczesnego powozu zwanego omnibusem oczekującego na nią, przed jej starym, spokojnym domkiem, kazała tylko rzeczy umieścić i wsiąść Marji-Ludwice z Anną, a sama z Henrykiem i Mają piechotą na banhof się udała. Panna Katarzyna przeszła plac Targowy i most Gorreker, z trudnością weszła na wzgórek i tam poczęły się już podziwienia jej i niespodzianki; lecz na ożywione i wesołe zabudowania banhofu, głową kręciła tylko. Te mury wydawały się jej jakby cudzoziemcy zuchwale zaszczepiający na świętej ziemi jej kraju, swoje zwyczaje, nawyknienia, nowości jakieś, swoje relsy, dachówki, kwiaty, i różne podobne niedorzeczności, przybrane w nazwy niezrozumiałe a szumnie brzmiące.

Henryk przeszedł dziedziniec, na którym wcale niewielki był ruch powozów i podróżnych, w oczach panny Katarzyny wydał się już niezmiernym, i zaprowadził ciotkę do oszklonych drzwi, prowadzących na taras, przed którym stał jeszcze pociąg do Quimper odejść mający. Pociąg ten ruszał z miejsca właśnie w chwili gdy najstarsza z mieszkanek Quimperlé wzrok swój na nim zatrzymała. Oparta obiema rękami o swój czerwony parasol, panna Katarzyna stała milcząca i nieruchuma, lecz bacznie się wszystkiemu przyglądając. Widok tak dla niej nowy, silnie duszę jej poruszył, jej martwa twarz dziwnie się ożywiła, oczy żywszem światłem zabłyszczały, czoło się pofałdowało a nawet nieugięta jej głowa pochyliła się cokolwiek.

— Nic mnie już teraz nie dziwi—szepnęła z cicha— ani odmiana, którą postrzegam w ludziach, ani zwyczaje nowe, ani też nowe upodobania. Ten wynalazek wytłómaczył mi wszystko, czegom nie rozumiała dotąd.

— Cieszy mnie to—rzekł Henryk—gdyż teraz ciotko, gdy porównywać będziesz obecność z przeszłością, wyrozumialszą się staniesz dla teraźniejszości i jej wymagań. Ten jeden wynalazek dostatecznie ci dowodzi, jakim krokiem wiek ten dąży do postępu.

— Dowodzi mi, że człowiek stał się bardzo przemyślnym, i bardzo potężnym—odpowiedziała zamyślona panna Katarzyna, a zwracając się ku Henrykowi, zapytała głosem przenikliwym.

— Czyż przez to stał się lepszym, lub większym? Henryk milczał.

— Tak, czy nie? — powtórzyła panna Katarzyna krzyżując energicznie swe wychudłe ręce na rączce parasola — tak czy nie, Henryku?

— Czy lepszy? większy? — powtórzył Henryk zakłopotany.

— Tak, nie pytam się, czy zręczniejszy, sprytniejszy, bogatszy, ale czy lepszy i większy? bo wreszcie postęp postępowi nie równy.

— Francya jest kwitnąca, ciotko, bardzo kwitnącą.

— Czyż jest nią rzeczywiście Henryku, ale na prawdę?... aż do szpiku swych kości, to jest: w charakterze, w obyczajach?

Henryk mimowolnie głowę opuścił na piersi.

— Nie—odrzekł — więcej jest rozumu, bogactwa, zręczności, niż tego co ciotka nazywa charakterem.

Dziwny uśmiech ukazał się na zeschłych ustach panny Katarzyny.

A odrzucając w tył swą dostojną głowę i rękę kościstą wyciągając ku dymiącej się lokomotywie pędzącej od Quimper, zawołała z szyderstwem:

— A więc jakież to wszystko ma znaczenie? Do czego prowadzi ten ogień, ten dym, to żelazo? Na co się przyda człowiekowi żyć tak prędko, tyle podróżować, jeżeli się lepszym i większym nie staje, a przeciwnie maleje tylko i siły swe traci? Ach! jedna jest rzecz przechodząca wszelkie wynalazki ludzkie, a tem są zasady, lecz jeśli te zasady giną wraz z przybywającemi nowościami, to grunt z pod naszych stóp ucieka i raz jeszcze pytam się ciebie, na co się to wszystko przyda?

Umilkła, bo tchu jej zabrakło, a potem ciszej nieco dodała:

— Ludzie nie mówią już jak ludzie, kobiety nie postępują jak chrześcianki, rolnik opuszcza swe pole, kupiec swój sklep, Bretończyk kraj swój rodzinny, i widzę jak wszyscy tracą wiarę w Boga i poczucie swych obowiązków! Tak, to się tylko zyskuje jeżdżąc temi żelaznemi powozami, co pędzą jak wiatr, i które nam przywiozły tych bezbożnych cudzoziemców rozsiewających zarazę niedowiarstwa w naszym kraju!

Głos panny Katarzyny, który się był podniósł do skali niezwyczajnie wysokiej, skonał w ostrym i przeciągłym dzwięku, ręce jej i głowa razem opadły, po wypowiedzeniu tego przekleństwa stała się znowu spokojną, surową, skamieniałą. Skorupa lodu pokrywająca wulkan pękła na chwilę pod naciskiem wewnętrznego ognia, bez płomieni wybuchnął, powłoka lodowa zuów się zaskorupiała. Odwracając się od tarasu, panna Katarzyna usiadła w kącie, gdzie się z nią Marya-Ludwika, Henryk i Anna wkrótce połączyli.

Anna była bardzo poważna i bardzo blada, lecz także bardzo spokojna. Opuszczać stare ciotki, opuszczać Quimperlé, to wzruszało ją bardzo i zasmucało głęboko, ale nietrzeba było wtajemniczać Henryka w cały ogrom jej poświęcenia, i dla tego starannie uczucia swe tłumiła.

Ruch coraz bardziej zwiększał się w sali i nic nie uchodziło bacznej uwagi panny Katarzyny, wszystkiemu się pilnie przypatrującej i od czasu do czasu wydającej lekki okrzyk podziwienia, który byłby wzbudził uśmiech na ustach podróżnych, gdyby go słyszeli: „Co za ruch! Mój Boże! co za ruch.“

Nastała jednak chwila usprawiedliwiająca poniekąd ten wykrzyknik. Niezwykły hałas dał się słyszeć w dziedzińcu banhof poprzedzającym, był—to szczęk, brzęk i głośne nawoływania; Anna machinalnie powstała, aby zdać sobie sprawę z tej niespodzianej wrzawy, gdy wejście licznego i głośnego grona wszystko wytłumaczyło. Wśród tego grona dawał się widzieć pan de Kerarn w butach z ostrogami i Franseza w stroju amazonki bardziej jeszcze piękność jej podnoszącym. Z jedenastu zostało tylko dwóch, i jeden z nich, właśnie dnia tego opuszczał Koat-an-Abat. Franseza wśród tłumu, rzuciła na Henryka przelotne spojrzenie, wdzięczny uśmiech Annie przesłała i znikła w sali pierwszéj klasy, z paniami którym towarzyszyła. Widok Fransezy silnie wzruszył Henryka, bąknął parę słów bez związku o rzeczach do oddania i ku drzwiom się zwrócił. Na progu zatrzymał się jednak, elegancki powozik wjeżdżał w dziedziniec. Noemi Drassart jak zwykle w płomieniste barwy przybrana powoziła sama dwoma rączemi końmi; przy niéj siedział wygalonowany groom jej mały, a za nią w drugim oddziale amerykanki ojciec jej i wuj spokojnie palący cygara. Spostrzegłszy Henryka, pan Drassart dotknął ramienia córki, która natychmiast lejce ściągnęła, szybko parę słów po cichu zamienił ze swym towarzyszem wyskoczył i podszedł prosto do Henryka.

— Bardzo się cieszę, żem jeszcze w czas nadjechał— powiedział spoglądając na zegar—zdaje mi się, że pociąg spóźnił się nieco?

— O dwadzieścia minut, odpowiedział Henryk ściskając podaną mu rękę.

— Bardzo szczęśliwie się stało — mówił pan Drassart —pragnąłem cię jeszcze widzieć kochany Dargarnec. Oto, dodał wyjmując z wewnętrznej kieszeni paltota szeroką kopertę, bardzo ważny papier, który jutro raczysz wręczyć naszemu spólnikowi. Gdzie się zatrzymasz?

— W Hotelu des Missions, ulica du Bac.

Pan Drassart uśmiechnął się ironicznie.

— Ależ — przerwał — stań lepiej w Grand-Hotel, ulica du Bac nie jest Paryżem. Czy chciałbyś może zamieszkać na przedmieściu Saint-Germain?

Stałe mieszkanie chciałbym sobie wynaleść gdzieś w pobliżu moich starych krewnych, których widziałeś Pan w Pouldu, panów Bihamic.

— Mieszkają....?

— Ulica Cuvier, niedaleko Jardin des Plantes, Pan Drassart poruszył się niecierpliwie.

— Ależ mój drogi — zawołał — to niedorzeczność, będziesz zbyt daleko od ogniska naszych czynności. Zamieszkaj ulicę Vivienne, Feydeau, ulicę Rivoli, Bankową, Chaussé d'Antin, gdzie chcesz wreszcie, byleby tylko w środku miasta, w środku koniecznie. Zresztą, przyjechawszy, udaj się do naszego pełnomocnika, on ci wynajdzie przyzwoite mieszkanie gdzieś niedaleko od nas.

(d. c. n).

LIST DRUGI Z CHICAGO

w Ameryce północnéj.

Z LIVERPOLU DO NOWEGO YORKU.

przez

SYGURDA WIŚNIOWSKIEGO.

(Ciąg dalszy.)

Czwarty nasz towarzysz, Amerykanin z rodu, wracający z odwiedzin do Europy, równego jak ja był zdania. Nie wiem, czy Niemcom przypadły do smaku tej treści pocieszenia, lecz i ja i on byliśmy zbyt starzy i zahartowani podróżni by czuć litość nad ludźmi cierpiącemi na chorobę morską.

A przecież na lądzie jestem tak drażliwy, iż nie mogę patrzeć na człowieka cierpiącego choćby ból głowy. Na morzu dreszcz mnie przebiega gdy widzę majtka z ręką nabrzękłą od powrozów lub słonej wody, tylko dla chorych na tą nieznośną a podobno okropną niemoc, nie czuję ani iskry litości i nawet śmieję się w duszy z ich żalów. Nie tylko ja lecz każdy stary żeglarz bezlitośnym na nich spogląda okiem.

Kto wyjaśni przyczynę tej oziębłości na ból bliźnich w pewnych okolicznościach Czyż przeświadczenie własnej wyższości pod tym względem czy też przyzwyczajenie do słyszenia skarg jednobrzmiących stępia wrodzoną litość nad choremi i bezsilnemi? Często przemyśliwałem nad tą zagadką psychologiczną, nierozwiązawszy jej do dziś dnia. To wiem jednak, iż jęki Niemców tylko nas rozśmieszały, że widok dwustu mężczyzn i niewiast zalegających salę obudzała w nas i w majtkach obrzydzenie nie litość.

Potężna maszyna, równie jak my nieczuła na ich bóle, trzęsła statkiem jak tylko umieją trząść maszyny śrubowe. To konwulsyjne drganie całego okrętu niemało przyczynia się do drażnienia nerwów podróżnych, woń przykra z kotłów i oleju którym stemple zwilżają, ciepło falujące od komina, stuk i tentent pistonów, syk pary, klekot i zgrzytanie długiego walca łączącego maszynę w środku okrętu ze śrubą u końca jego, wcale nie pomagają do złagodzenia cierpień.

Nie ma—to jak żaglowiec! Schludny, okryty białą szatą płócien, pochylony cokolwiek na jedną stronę przecina fale bez szelestu prawie i bez walki. Niby rybitwa płowa, mieszkanka oceanu, buja wesoło w swoim żywiole. Umyka przed wiatrem; przed wściekłym huraganem stula swe loty, by w pogodę

znów je rozwinąć, jak najszerzej i mknąć po wierzchołkach fali. Pokład go nie zalewa bezustannie, jak pokładu parowca, powódź słonej wody, gdyż zbyt bujny i lekki podnosi się wczas, zanim grzywa bałwanu wedrze się po nad burty.

Parowiec, potwór zbudowany, by na przekór fali i wiatrom krążyć po świecie, nie łagodnym podstępem, lecz siłą przedziera się przez bałwany. Jest to zdobywca brutalny, nieszczędzący ni morza ni swej własnej załogi. Gdy dyplomata żaglowiec lawiruje, już to uchylając czoła przed wiatrem, już to je podnosząc, tamten przemocą dąży w raz wytkniętym kierunku. Trudno też oddawać się na nim marzeniom jakie napełniają ducha w długiej żegludze na cichych i czystych okrętach wiatrem pędzonych. Gęsty kłąb dymu z komina zaciemnia nawet gwiazdy nad głową, te gwiazdy tak piękne, tak jasne, tak odmiennem pałające światłem nad morzami jak nad lądem. Jak tu marzyć gdy woń węgla drażni powonienie, sadza czerni bieliznę i ręce, a ciągle łupu cupu! brzmi w uszach. Nerwy też podróżnego tak się rozdrażnią po kilku dniach klekotu, iż najłagodniejszy człowiek staje się opryskliwym, najszczodrzejszy zmienia w zatwardziałego sknerę. Miałem z Liverpolu spore pudełko z kilkoma butelkami wódki francuzkiej i cygar dobrych. Zwyczaj morski i popęd serca kazał najpierw poczęstować niemi tego i owego, wkrótce jednak wyschło źródło miłości bliźniego w umyśle znużonym wiecznym hałasem. Siedząc jak Cerber nad puzderkiem i nie pijąc i nie paląc, patrzyłem z pod oka na mych współpodróżnych. Biedacy! mniej odemnie przezorni i pewni, iż znajdą te specjały na statku nie zaopatrzyli się w nie wcale. Dziś więc czuli męki Tantala, patrząc na niedostępne dla nich bogactwa mnie zaś wyraz pragnienia przebijający się w ich obliczu bawił i napełniał uczuciem zwanem przez Niemców *Schadenfreude*.

Któżby się ustrzegł jednak złośliwości, słysząc jak kilkaset osób ścieśnionych na pokładzie, skarży się jęcząc we wszystkich zepsutych językach Europy. Tu prostacza angielszczyzna lub ów nieznośny dialekt irlandzko-angielski zwany *brogue*, mieszają się z francuzkiem *potois* z *plattdeutsch* niezrozumiałem prawie i z włoszczyzną tak oddmienną od florentyńskiej, jak ziemia od nieba. Znać z mowy tych ludzi iż Anglia, Irlandya, Niemcy, Francya i Włochy nienajbardziej wykształconą część ludności wyprawiają do Ameryki.

Ucho me pochwyciło jednak wśród tych jęków i słowa polskie i żydowskie nawet. Jakaś opasła jejmość z Poznańskiego wzywa Ś-go Józefa na pomoc i zaklina się, iż jeżeli raz do Ameryki dojedzie to już ją żaden agent niemiecki do powtórnej morskiej wycieczki nie skłoni. Żydzi warszawscy—a było ich ze 20 z żonami i dziećmi—niemniej narzekają na los nieszczęśliwy, który ich zagnał w tak niemiłą podróż.

Pocieszałem jak mogłem mych rodaków. Kobiecie powiedziałem, iż za trzy dni będzie wesoła jak ryba, żydkom poradziłem, by wypili po kiliszku wódki i zamiast jęczenia i rzucania się na wszystkie strony, leżeli spokojnie bez poruszania. Posłuchali mej rady i choć nie wyzdrowieli, lecz uczuli cokolwiek ulgi.

Minęły noc pierwsza i dzień pierwszy podróży. Popołudniu zjawiły się ciemnozielone brzegi Irlandyi. Patrząc na nie z daleka, nie domyślałbyś się, iż tam mieszka najbiedniejszy lud w Europie. Wzgórza nadbrzeżne o trawie barwy szmaragdowej przegrodzonej ciemnemi żywopłotami, wyglądają uroczo. Niedarmo wyspa ta nosi nazwę Emarald Island (Szmaragdowa wyspa), bo zaiste nawet Holandya lub Anglia takich łąk aksamitnych nie posiada.

Piękne domostwa otoczone parkami, przerywają jednostajność murawy. Siedziby—to możnych panów, stojące pustką przez pół roku, gdyż właściciele ich przepędzają znaczną część żywota, to w Anglji, to na kontynencie, trwoniąc dochody z coraz bardziej wycieńczonej roli. Mało ich obchodzi, czy oddzierżawiający ich ziemię kmiotek ma dość ziemniaków na wyżywienie swej rodziny przez zimę, byleby się z czynszu uiszczał i dostarczył im pieniędzy na hulatykę zagraniczną. Nie rażą ich brudne i dymne lepianki ludu powierzonego ich opice, widują je bowiem jak najrzadziej.

Szybko przesuwa się przed nami panorama wybrzeża Irlandyi. Wreszcie w biegu naszym ku południowemu zachodowi dostrzegamy w dali wysokie pagórki *Connomary*, owe pasmo gór jeżące się w hrabstwie Kork i tworzące tło pięknych widoków tej części kraju.

Wnet wystrzał armatni ze statku i kilka rakiet puszczonych w górę, gdyż już zmrok zapadł, wzywają pilota portowego. Dziwi nas takie wezwanie, gdyż nie widzimy jeszcze wjazdu do przystani i cały brzeg morski wydaje się jednem pasmem skał pionowych.

Z po za rodzaju przylądka wysuwa się czółno pędzone ramionami czterech wioślarzy. Przez nocną lunetę widzimy banderę ciemnej barwy, banderę u rafy łodzi: pewno niebieska i oznacza, iż łódź wiezie sternika.

Dobiła łódź do statku zatrzymanego w pędzie przez zawarcie pary w kotle. Po drabince sznurowej ciśniętej mu chce wbiedz pilot na pomost, gdy jeden z ludzi jego opuszcza w wodę wiosło. Nie chcąc utracić dość cennego sprzętu, woła do naszego kapitana, iż musi wpierw wiosła odszukać, zanim nam zdoła służyć.

Kapitan, stary Amerykanin, u którego czas to pieniądze, dąsa się na zwłokę. Zresztą zamknięta para syczy i burczy w maszynie, jak lew uwięziony. Nie czekając więc na pilota, sam wiedzie statek na około przylądka, ryzykując, iż w razie rozbicia go nie otrzyma wynagrodzenia od towarzystw ubezpieczenia.

Szybko wydaje rozkazy z wysokiej galeryi nad środkową częścią okrętu. Stojąc w budce z żaglowego płótna utworzonej, by go od wiatru broniła, wiatr bowiem morski wcale niewiele ziębi człowieka stojącego na tak wyniosłem stanowisku, woła *port* lub *star board* (w prawo, w lewo). W pół drogi pomiędzy nim, a domem sterników ujrzysz podwładnego oficera, ten powtarza każdy rozkaz wodza, dodając mu dobitności gestami; dwaj sternicy u koła okrętowego wlepiają w niego oczy i ze słów i znaków dowiadują się o woli kapitana. Gdy bowiem długość okrętu 400 blizko stóp wynosi, więc głos kapitana, stojącego blizko końca o 70 kroków od nic hoddalonego, nie doleciałby ucha sterników bez pomocy pośrednika.

Statek nasz tak łatwy do sterowania i tak lekko nuża się w wodzie, gdyż oprócz trochę cyny, wełny i podróżnych niewiele wiezie ładunku; ledwie rozkaz wypadł z ust oficera, już pierś okrętu zatacza półokrąg w prawo lub w lewo. Dziwna-to rzecz dla lądowca, ten widok gmachu ważącego setki tysięcy cetnarów, a przecież zwracającego się za pchnięciem ludzkiej ręki, szybko i w rozmaitych kierunkach.

Opłynąwszy przylądek spostrzegamy ogromną odnogę okrągłą i gładką. Jest-to przedsionek przystani *Cork*, zwany portem *Queenstown*.

Miasto Queenstown, roztacza się półkolem, szarzeje w zmroku w głębi portu; długie rzędy lamp jego pałają tuż po nad wodą. Na przeciwnej od miasta stronie błyszczą światełka w willach i chatach; za nami, na przylądku, goreje czerwona latarnia morska. Światło jej znika czasami, wzmacnia się zwolna, błyska na kilka sekund niby słońce wschodzące i znów przyćmiewa i gaśnie. Takie latarnie zwą marynarze światłami rewolwującemi i przenoszą je nad *fary* płonące stałym ogniem. Zmiennością swą bardziej one zwracają uwagę straży spoglądającej ze sztaby okrętu, jak płonące jednostajnie.

Oprócz tej latarni pomagają do wskazania nam drogi ku miastu i fary pływające. Okręta spore, leżące latem i zimą na kotwicach u wstępu do znaczniejszych portów, nazywamy pływającemi latarniami. Na szczycie masztu dźwigają sporą kulę czerwoną służącą w dzień jako drogoskaz, w nocy zaś oświetlone są wewnątrz latarnią. Smutne-to musi być życie człowieka, zapalającego tę latarnię co wieczór. Od roku do roku przebywa samotnie lub z żoną i dziatwą tylko na takim statku, burze kołyszą przez całą zimę jego domostwo, ledwie raz w tydzień dobija doń łódź z zapasami żywności i głos obcych przerywa na chwilę jednostajność jego żywota. Gdy huragan pieni morze przez długie tygodnie zimowe, kilka ich upłynie czasami zanim jakiekolwiek czółno odważy się przybyć doń z nowinami z miasta. Żaden fanatyczny pustelnik nie mógłby żyć samotniej, jak żyje ów stróż pływającej latarni.

Port Queenstown, jak wspomniałem, tworzy tylko przodsionek tak zwanej Cove of Cork (przystani Korku), jednej z najpiękniejszych i najbezpieczniejszych w świecie. Oprócz Sydneju w Australii, nie znam żadnej—a widziałem ich co niemiara—obszerniejszej i gładszej. Ubiegając kilkanaście mil angielskich w głąb lądu, to się zwęża, to rozszerza, to prosto bieży, to zgina półkolem wokoło przylądków strojnych w zieleń i piękne domostwa. Znam przystań tę z dawniejszych mych odwiedzin Irlandyi i mocno żałuję że nie mogłem jej ujrzeć powtórnie owej nocy gdy Minesota do niej zawitała. Tylko Stambuł lub Neapol wyrównają jej w malowniczości.

Statek nasz zapuścił kotwicę tuż obok Queenstown. Mały parowiec przybył z miasta z ładunkiem i setką wychodźców irlandzkich. W parę godzin po umieszczeniu ich we wnętrzu Minesoty już znów zawarczał łańcuch kotwicy i znów wypłynęliśmy na otwarte morze.

Z rozmowy z nowemi przybyszami przekonałem się, iż wychodźtwo znacznie się zmniejszyło ostatniemi laty. Po części w skutek praw przeprowadzonych przez angielski parlament i broniących chłopów dzierżawców od samowoli pana, dawniej wypędzającego ich z dzierżaw, wedle własnego widzimisie, po części iż już nie ma komu opuszczać wyspę, bo najbiedniejsi i nieustaleni mieszkańce dawno z niej odpłynęli; daleko teraz więcej Niemców, jak Irlandczyków opuszcza Europę.

Wyspa mająca dziś nie więcej, jak pięć i pół milionów mieszkańców, wysyłała rocznie przez długie lata po cwierć miliona chłopców i dziewcząt do Ameryki i Australii. — Większość armji i policyi angielskiej złożona jest z Irlandczyków; Liverpol, Londyn, Glasgów i wszystkie wielkie miasta Anglii, przepełnione są wyrobnikami irlandzkiemi. W Ameryce ma ich być 7,000,000, w Australii tworzą trzecią część ludności, w Anglji samej, pewno ich więcej jak milion. Tyle milionów opuściło kraik ten mały i biedny od lat 30 dopiero, a przecież nie brak w nim rąk roboczych.

Nazajutrz po opuszczeniu Queenstown, wyszedłem na pokład o świcie. Słońce wschodziło już z topieli, ląd leżał daleko po za nami, statek nasz pruł wodę w zachodnim kierunku z szybkością jedenastu mil morskich na godzinę.

Choć bezustannie wałęsając się po morzu, nie mogę się chlubić, jak i większość podróżnych, bym oglądał zbyt często cudne zjawisko słońca wschodzącego z wśród wody. Pochodzi to z przyczyny, iż majtko-

wie zmywają pokład statka w rannej porze. Woda płynie z rur i z wiader, szczotki i miotły wiją się pod nogami, załoga zajęta pracą, niechętnie patrzy na włażącego jej w drogę podróżnego. Brak ciszy rozrywa uwagę a nie pozwala napawać się pięknością poranka, a wilgoć pod stopami każe wracać z chłodnego pomostu do ciepłej kabiny.

Owego ranka, po raz pierwszy i ostatni w niniejszej podróży, patrzylem na wschodzące słońce. Zwolna wysuwała się czerwona półkula z wśród morza czarnego prawie: kilka chmurek wiszących na wschodzie widnogręgu płonęło rumianą barwą, kilka new latających za okrętem, wyglądało jakby skrzydła ich były ulane ze srebra, a obrąbione złotem.

Wtem, właśnie gdy pół tarczy słonecznej wychyliło się już z wody, barka płynąca daleko po za nami i kierująca bieg swój z północy ku południowi, poczęła się z wolna przesuwać pomiędzy mną a słońcem. Pierwszy raz w życiu ujrzałem podobne widowisko.

Barka musiała być sporym trzymasztowym statkiem, maszty jej, reje i białe żagle widziałem dokładnie i szczegółowo, lecz jakby zmniejszone. Wyglądały one jak gdyby fotografia białego statku, była odbita na okrągłej, krwistej tarczy. Cały tołub jej, wszystkie maszty i płótna wyrzeźbione na tle ognistem, posuwały się zwolna przedemną. Byłoto zaćmienie słońca przez okręt.

Przez pół minuty może patrzyłem na to widowisko. Wreszcie maszt jej tylny minął czerwoną kulę słońca. Zaledwie minął ją, już i barka niewyraźniej przedstawiała się oczom, przybierając postać szarej plamki, jak wszystkie bardzo oddalone statki.

Słońce wynurzyło się całe z toni, i na chwilę, niby wahając się, czy ma w górę iść czy znów ukryć przed okiem, zawisło bez ruchu, a potem wysunęło się szybkim pędem wprost w górę. Chmurki bledną i znikają wreszcie ze sklepienia niebieskiego, długa srebrna smuga ściele się od wschodu ku naszemu okrętowi, fale morskie tak ciemne dawniej, przybierają modrzejszą barwę... Tak wyglądał wschód słońca na Atlantyku.

Dzień był piękny, i myślałem, iż przyszła stosowna pora, by się zapoznać z towarzyszami podróży. Wielu z jadących w pierwszej i w drugiej klasie przechodziło się po pokładzie, korzystając z tego, iż trzecia klasa jadła śniadanie. (d. c. n.).

SZKIC

LITERATURY ROSSYJSKIEJ.

(Ustęp z dzieła Konstantego Petrow p. t. Obraz literatury rossyjskiej).

III.

WIEK XVI.

Rossya północna i wschodnia.

(Ciąg dalszy).

Pomimo usiłowań i napomnień duchowieństwa oraz niektórych środków przez rząd przedsięwziętych, w różnych objawach życia publicznego narodowego, zaczęły się okazywać przeciwne kierunki. Skutkiem jarzma Tatarów, książę, dowódca wojsk i obrońca granic rossyjskich, zamienił się w samowładnego monarchę, noszącego tytuł Cara, a rozproszona drużyna jego, wytwarzała sobie często interesa niezgodne z interesami naczelnika rządu. Lud był gburowaty i w strasznej pogrążony ciemnocie. Tak było jeszcze w XVI wieku, w końcu którego stan rzeczy o tyle się poprawił, że znaleźli się ludzie rozumniejsi, pragnący zapobiedz złemu. To też literatura tego stulecia stanowi bogaty materyał do badania obyczajów staro-rossyjskich. Główni pisarze, w których dzieła-życie ówczesne z największą przedstawione jest prawdą są: Maksym Grek, Jan Wasilewicz Groźny, ksiądz Sylwester i książę Kurbski.

Maksym Grek († 1556) zakonnik z góry Atos, wychowany był we Włoszech, gdzie, szczególniej w owej epoce, zajmowano się troskliwie literaturą klassyczną; Platon, Arystoteles, Wirgiliusz, równo jak dzieła Ojców Kościoła cieszyli się wziętością. Stawiając sobie za wzór Sawonarola który przypłacił życiem gorliwość reformatorską. Maksym przejął się gorącym zapałem religijnym. Zawezwany do Rossyi przez Bazylego IV dla sporządzenia spisu rękopismów słowiańskich i greckich, znajdujących się w księgozbiorze wielkoksiążęcym, Maksym przybył tam z daleko zdrowszemi i wszechstronniejszemi wiadomościami i pojęciami religijnemi i naukowemi, i łatwo mógł poznać, że wielu Rossyan odstąpiło od dawnych pojęć i zwyczajów; powodowany fanatyzmem i wielką energią charakteru, zaczął groźnie powstawać przeciw temu, w skutku czego działalność jego literacka rozwijała się głównie w duchu krytyki. Dzieła jego dostarczają materyału do badań nad ówczesną epoką; niewielka jest ich liczba, ale treść różnorodna. Potępia pisma Schomberga i herezye napiętnowane judaizmem; dowodzi, że klasztory nie powinny posiadać dóbr nieruchomych; gani rozruchy wszczynane przez szlachtę, mieszanie się duchowieństwa w sprawy doczesne i mieszanie się rządu w sprawy kościoła. Był-to człowiek niezmordowanej pracy. Przetłómaczył i opracował sam gramatyczny wykład Pisma św.

Car Bazyli IV obdarzał go swoją łaską i niezwykłej udzielał władzy, co ogólną budziło zazdrość; a gdy jeszcze w pismach swoich powstawał surowo na ówczesną ciemnotę i barbarzyństwo, czem dotykał wielu dygnitarzy, zrobił sobie licznych nieprzyjaciół, a ci korzystając z niezadowolnienia Bazylego IV, któremu Maksym nie chciał pozwolić odtrącić żony jego Salomei (jako nie mającej potomstwa) umieli skorzystać z niezadowolenia cara i wyjednali rozkaz skazujący Maksyma na wygnanie do monasteru, gdzie dokonał życia już za panowania Iwana Groźnego.

Prace literackie Iwana Groźnego (IV † 1584 r.) zasługują na szczególną wzmiankę z powodu, iż bardzo duże rzucają światło na wypadki historyczne w XVI stuleciu i dają poznać niezwykły charakter samego pisarza.

Iwan-Groźny, samowładca i wielki książe moskiewski, syn Wasila Iwanowicza, urodził się w roku 1530. Po śmierci ojca, liczył zaledwie lat trzy i został ogłoszony następcą tronu. Charakter i okrucieństwa tego cara znane są z historyi, tu wspomnimy tylko o literackiej jego działalności. W roku 1550 wydał zbiór praw znany pod nazwą *Sudiebnika*, a w następnym *Stogławie* (kodex ze stu rozdziałów złożony) do zarządu sprawami cerkiewnemi, pod kierunkiem znakomitszych osób duchownych napisany. W *Stogław'ie* wykazane są nadużycia duchowieństwa świeckiego i zakonnego, oraz zepsucie obyczajów ludu; jestto zabytek bardzo ważny do historyi politycznego rozwoju Rossyi, ale pisarza dziejów piśmiennictwa o tyle tylko obchodzi, o ile dostarcza mu materyałów do zbadania faktów z dziedziny literatury. Do najważniejszych pism Iwana-Groźnego należą: *List do przełożonego monasteru, Cyrylla Białozierskiego* i korrespondencya jego z kniaziem Kurbskim.

Za panowania Iwana Groźnego, monaster Cyrylla Białozierskiego, stał się miejscem schronienia bojarów niezadowolnionych, lub w niełasce będących; zgadzali się na przyjęcie tonsury, ale mimo pobytu w klasztorze, nie przestawali pędzić życia w zbytkach, rozkoszach i próżniactwie. Mnichy nietylko tolerowali te nadużycia, ale sami brali w nich udział. Iwan dowiedziawszy się o tem, napisał list do przełożonego, w którym wytyka śmiało skażenie obyczajów duchowieństwa, zepsucie bojarów i ostrem szyderstwem chłoszcze tych nienawistnych sobie panów. Pierwsza połowa listu Iwana, jest po większej części zaczerpnięta z listu Hilariona-Wielkiego do pewnego zakonnika, w niej Groźny car przedstawia, jakie powinno być życie zakonne w chrześcijańskiem powołania tego pojęcia, w drugiej znów części wykazuje, jak dalekiem jest od tego ideału życie mnichów białozierskich.

Korrespondencya Iwana-Groźnego z kniaziem Kurbskim, przez długi czas ulubieńcem a następnie buntownikiem, który chroniąc się przed gniewem cara, uciekł do Litwy, traktuje bezpośrednio o stosunkach Iwana z bojarami. Obaj zarówno rozumieją znaczenie faktów, odznaczają się erudycyą i siłą rozumowania, ale Iwan-Groźny przewyższa Kurbskiego, szczególniejszą trafnością przywodzonych argumentów, wprawną dialektyką i uszczypliwą ironją. Styl Iwana nie celuje zwięzłością i wykwintnością formy, ale błędy te okupuje świeżość przedstawienia i żywość uczuć, dzięki czemu osobistość pisarza żywo odbija się w jego dziele.

Kniaź Kurbski dał się poznać nie z samych tylko korrespondencyi z carem, był on prócz tego zdolnym autorem. Jako dowódca wojsk, przyczynił się Kurbski do zdobycia Kazania, odznaczył się w wielu bitwach, a następnie po przegranej pod Newlem, uciekł do Polski, jak jedni twierdzą, z obawy gniewu cara, inni utrzymują, iż uczynił to w widokach świetniejszego stanowiska.

Osiadłszy na Wołyniu, poświęcił się naukom, uczył się po łacinie, pracował nad filozofią Arystotelesa, tłómaczył na język cerkiewno-słowiański mowy Jana-Złotoustego, historyę soboru Florenckiego, życie Teodoreta. Napisał aż cztery listy do cara Iwana; pisał także do Konstantyna, księcia Ostrogskiego, do księżnej Czartoryjskiej, do Mamonicza i wielu innych. Lecz najważniejszem z dzieł Kurbskiego jest *Historya życia i czynów* cara Iwana-Groźnego.

W dziele tem autor opisuje życie Iwana IV począwszy od lat dziecinnych, aż do r. 1578. Opisał w niem autor wychowanie tego monarchy, wyprawy na Kazań, Krymców, Czeremisów i Liwońców; ale większa część dzieła zawiera opis okrucieństw cara dokonywanych nad bojarami i innymi jego podwładnymi. W tej historyi dochowały się ciekawe fakta odnoszące się do panowania i rządów tego monarchy; wypadki przedstawione są w związku między sobą, wykazane ich przyczyny i następstwa. Zasadnicza myśl w roztrzygnieniu zadania umiejętnie przeprowadzona, nadaje pracy Kurbskiego wielką wartość i stawia go wyżej nad zwykłych kronikarzy.

Kapłan Sylwester, główny doradca Iwana Groźnego i prawa jego ręka w pierwszych latach panowania zostawił ważne dzieło pod napisem *Pan domu* czyli książka dobrobytu domowego i porządku w sprawach rodzinnych i gospodarskich. Duchowny ten wymaga od ludzi światowych równie surowego życia jak od zakonników, i całą, nieograniczoną władzę w domu i rodzinie przyznaje ojcu, jako głowie rodziny. Taki sposób zapatrywania odejmował kobiecie, żonie i matce, wszelki wpływ na sprawy rodzinne i wychowanie dzieci, tamował wszelki indywidualny rozwój młodszych członków rodziny, i zacieśniając życie ludzkie w kole drobiazgowych formułek, wyradzał jałowość i nieruchomość. Jednakowoż poezye ludowe z XVI-go i XVII-go wieku przekonywają, że ideałem ówczesnego społeczeństwa rossyjskiego była nieograniczona władza rodzicielska.

Wyż wzmiankowane dzieła wystarczyłyby do scharakteryzowania XVI wieku, ale działalność literacka nie ogranicza się na tem. Do najciekawszych książek zaliczają się *Stepienne księgi* obejmujące wyciągi z panowania książąt i carów podług stopni pokre-

wieństwa, począwszy od Ruryka aż do Iwana Groźnego.

Większą część tych ksiąg układał metropolita Makary; treść po większej części jest kompilacyą z różnych kronik, pogląd rzucany ze stanowiska religijnego, a fakta mające jakąś doniosłość dla kościoła są najszczegółowiej obrabiane.

Latopisy pisane są po dawnemu; jednak od czasu politycznego przekształcenia się Moskwy, zaczęły przybierać nową formę i charakter urzędowy, właściwy wydawnictwom rządowym. Powoli nabrały one znaczenia dokumentów prawnych, z których książęta wywodzili swe prawa do wszechwładztwa i tronu, i zaczęły nosić nazwę kronik i ksiąg cara.

Wyszły także *czytania miesięczne* pod kierunkiem Makarego ułożone; jest to zbiór rozmów pobożnych, rozłożonych na wszystkie miesiące roku. Jest tu wiele ustępów z pisma św. ich tłómaczenie, oraz dużo artykułów pouczających. Można uważać te *Czytania* za zupełną encyklopedyą ówczesnych wiadomości kościelnych.

Jednym z najważniejszych faktów odnoszących się do historyi cywilizacyi Rosyi, jest zaprowadzenie drukarni za Iwana Groźnego. Na synodzie, któremu car ten przedstawił swoje sto rozdziałów zaproponował on jednocześnie zaprowadzenie drukarni, jako jedyny środek przechowania ksiąg świętych i ustrzeżenia ich od skażenia przez nieokrzesanych kopistów. W tym celu wybierano najlepsze rękopisma, aby według nich poprawić inne egzemplarze i dopiero oddać do druku. Ta pożądana nowość była z początku bardzo źle przyjęta, a drukarze ciężkie przenosić musieli próby, a nawet w XVII wieku druk był powodem gwałtownych walk i sporów, skutkiem których wielu wyznawców odłączyło się w końcu od kościoła prawosławnego. W końcu jednak wszelkie przeszkody zostały usunięte, drukarnie utrzymały się w Rossyi, zapewniając jej też same dobrodziejstwa, jakiemi już od tylu wieków obdarzyły inne kraje europejskie.

(d. c. n.)

Przegląd literacki.

PIEŚNI I PIOSENKI
Maryi Szeligi.

Warszawa. Nakład wydawnictwa S. Czarnowskiego i sp. 1873 r. str. 260 in 8-o. Dedykowane Konstancyi Mireckiej.

(Ciąg dalszy.)

Nadto poeta, ogniskujący w swojej duszy myśli i uczucia, smutki i nadzieje, tęsknoty i pragnienia danego społeczeństwa, znać je musi istotnie, sam przeboleć nie jedno cierpienie, nie jednej dotknąć się rzeczy, inaczej, słowa jego będą jakiemś nieokreślonem marzeniem, intuicyjnem przeczuciem, powstałem najczęściej pod wrażeniem przeczytanej książki. Kto chce wpłynąć na życie współbraci, ten dobrze znać winien to życie; o autorce *Pieśni i Piosenek* powiedzieć tego nie możemy. Wiele tu myśli i obrazów jest tylko jakby odbitką cudzych myśli dopełnionych i ozdobionych kwiatami bujnej wyobraźni, jak o tem przekonywa nie jeden ustęp „Reginy". Przeciwnie tam jak to uważaliśmy już w powieści „Dla ideału" gdzie autorka maluje życie dobrze jej znane, w którem sama mogła brać udział, myśli są pełne prawdy, oddane z całą swobodą i wdziękiem. Sfery obce autorce, choćby ozdobione urokiem pięknego jej słowa, zawsze będą mniej więcej udatnemi kopiami.

Zakres naszych poglądów, wewnętrzne nasze bogactwa, zwiększa i potęguje wszechstronna nauka i pracowite, samodzielne studya nawet nad przedmiotami, ktore na pozór zdają się nie mieć żadnego związku z poezyą. Ileż-to prawdziwie utalentowanych poetów zmarnowało się u nas dla braku wyższego ukształcenia; zaledwie ślad po sobie zostawili hołdując fałszywym owoczesnym wyobrażeniom, że nauka tłumi natchnienie, a rozwijając rozum wstrzymuje polot fantazyi. Że tak nie jest, dowodem najznakomitsi poeci, Goethe był nieposlednim naturalistą, nasz Mickiewicz biegłym filologiem i znawcą starożytnej i nowoczesnej literaty. Polowi geografia nie stawała na przeszkodzie w nienaśladowanych jego gawędach; Kraszewski jeden z najznakomitszych naszych powieściopisarzy, nie jest zwykłym dyletanntem w sztukach pięknych. Jakie zaś są zasoby naukowe naszej autorki, trudno z dotychczasowych jej utworów należycie ocenić; to wszakże pewna, i w *Pieśniach i Piosnkach*, pomimo prześlicznych ustępów *Fantazyi marzyciela*, Bajron trocheby odmienniej się zaprezentował, gdyby autorka zamiast powtarzać zbyt znane ogólniki, zechciała gruntowniej poznać czas i ludzi, w pośród których żył, cierpiał i tworzył ten genialny poeta.

Mimo licznych usterek i błędów, owszem samemi nawet temi błędami autorka *Pieśni i Piosenek* okazała istotny talent poetyczny, którego najniechętniejszy krytyk odmówić jej nie może. Co do nas z przyjemnością widzimy, że dla autorki poezya nie jest jakąś chorobliwą zachcianką, tak rażącą w dzisiejszym nadewszystko praktycznym wieku, lecz wypływa z przyrodzonych jej zdolności. P. Marya Szeliga posiada wszelkie warunki, jakich wymagamy od prawdziwego poety, tylko je potrzeba podnieść, wyrobić, uszlachetnić nauką i uporządkować nabytkami gruntownej wiedzy.

Oto motywa nasze:

Utwory poetyczne Szeligi czy-to większych, czy mniejszych rozmiarów, nie budzą w czytelniku żadnych przypomnień którego z wielkich poetów naszych. Nie postrzeżesz tu ani cienia naśladownictwa w formie i wyrażeniach; tak one tu swobodne, naturalne, iż niekiedy stają się trochę zaniedbane. Dalej siła i trafność obrazowania, nawet najoderwańszych myśli, widoczna nie w jednym wierszu; co większa nie postrzeżesz tu żadnej przesady, żadnych sztucznych przenośni, na które zwykle tak silą się młodzi poeci, choćby z pogwałceniem zdrowego rozsądku. W obrazkach dramatycznych dyalogowanie żywe i nienaciągane, każą się spodziewać, że przy dokładniejszem zbadaniu architektoniki scenicznej, autorka mogłaby zbogacić naszą literaturę niejegnym dramatem. *Ideał kobiety* i *Regina* zawierają mnóstwo scen prześlicznych i do głębi wzruszających czytelnika, jak np. między Maryą i Konradem, albo Reginy z Leonią.

Język wszędzie czysty i nieskażony obcemi zwrotami.

Wreszcie owa różnorodność w pojęciach, które tak gorszyły recenzenta *Gaz. Pol.* jest więcej jednym dowodem, że autorka jest wiernem dziecięciem danego czasu i danej społeczności. Buja między niebem i ziemią, duch jej radby wzlecieć w wyżyny, ale realizm wzbijający się ku niej w kłębach duszącej atmosfery, przyciąga ją ku ziemi, stwarzając sprzeczności w polocie myśli i słowa. Nic więc dziwnego, że poeta w utworach swoich, nawet czysto podmiotowej natury, odzwierciadla tę chwiejność w zasadach i poglądach, jaką się odznacza dzisiejsze społeczeństwo nasze. Poeta nie może być rycerzem walczącym pod sztandarem pewnego stronnictwa, nie może, a przynajmniej nie powinien służyć za propagatora jakiegoś systemu filozoficznego lub politycznego, a tém mniej stać się pokornym służką jakiejś pobocznej tendencyi. Biada poecie, na którego natchnienie wpływa nie naród cały wzięty w najrozleglejszem znaczeniu, lecz pewne jego cząstki, a nawet jednostki. Przypomnijmy sobie, co się stało z nieśmiertelnym naszym Adamem, gdy się zawikłał w marzenia Towiańczyków? Co z Bogdanem, owym dzielnym śpiewakiem dum ukraińskich, gdy zwątpiwszy o wszystkich i o wszystkiem skomponował ckliwy aż do przesady znany poemat treści nabożnej? Czy autor „Pieśni o ziemi naszej" zyskał co na tem, że w swoich rapsodach, tak wyłącznie trzymał się sfer szlacheckich i wyparł się swoich przekonań z czasów młodości? A jakiż koniec, wreszcie, mieli ci z poetów naszych, którzy hegliański panteizm chcieli wprowadzić do poezyi naszej?

Autorka *Pieśni i Piosenek* pojmie nas zapewne, czego od niej żądamy. Nie pragniemy, aby została realistką za jakąbądź cenę, ani też aby hołdowała idealistycznym marzeniom, nie mającym żadnego związku z naszemi potrzebami duchowemi, chcemy tylko, aby została sama sobą.

Rozumie się samo przez się, że dotknąć musi nie jednej struny znajdującej fałszywy oddźwięk w narodzie, nim natrafi na ton właściwy, zgodny z jej usposobieniem artystycznem, i z usposobieniem kraju, którego jest córą.

Nie potrzebujemy zdaje się dodawać, że nie powinny jej ani zrażać szykany przeciwników, ani daleko zapędzać pochwały stronnicze tych, którym zdawać się będzie, że służy ich widokom. Ma talent niezaprzeczony, tylko jak powiedzielimy już, trzeba go wesprzeć i pobudzić do działalności nauką. Sam on przez się nic nie zrobi, bo jest tylko narzędziem, którem głowa i serce kierują. Wśród walki, jaka się dziś toczy w umysłach naszej społeczności, stanąć winna wyżej nad ścierające się opinie i drobiazgowe waśni. Niech znów weźmie za przykład Mickiewicza, który zaczął swój poetyczny zawód jako romantyk, skruszył nawet kopią z wyrodzonym klasycyzmem, lecz doszedłszy swojego zenitu w „Panu Tadeuszu" nie był już ani klasykiem, ani romantykiem, był tylko poeta—poetą narodowym; wziął polot myśli od romantyków, a wykształconą formę od klasyków.

Otóż autorka *Pieśni i Piosenek*, jeśli nie zechce stłumić w sobie iskry bożej, niech kształci się sumiennemi studyami, bada życie we wszystkich jego przejawach, udoskonala tak już doskonałą naszą formę poetyczną, a przy tem niech nie rozprasza zbytecznie swoich zdolności, a może być pewną, że polska literatura szczycić się kiedyś będzie jej nazwiskiem bądź przybrauem, bądź istotnem.

Nie przytaczamy ani wyciągów z poezyi Szeligi, ani szczegółowo rozbieramy utworów znajdujących się w *Pieśniach i piosenkach*, uważając to za rzecz zbyteczną, przechodzącą zakres naszego pisma, wszelako ze względów polemicznych winniśmy powiedzieć słów parę choćby tylko o *Urszyli Zmorskiej.*

Co do samego pomysłu, ten treścią swoją wybornie podaje się do poematu, w tem jednak zbłądziła autorka, że go wydała nie *na czasie*, narażając się na ten sam zarzut, jaki spotkał jednego z naszych znakomitych historyków, gdy także nie *na czasie* wystąpił ze swojemi badaniami. Snać autorka zapomniała o słowach niemieckiego poety, który radzi, aby to, co ma ożyć w pieśni, zaginęło w rzeczywistości.

Tyle co do pomysłu.

Wykonanie zaś jego dosadne i barwne, chociaż za wiele ma epizodów, a najniepotrzebniejszy z nich, wyśpiewujący pochwałę tych, co jeszcze nic nie zrobili, chociaż hałasują wiele (str. 58). Charakter hrabiny wybornie oddany, książe Staś godzien figurować w pałacu *pod blachą*; sama bohaterka, Maryani, pomimo rysów wschodnich i ognistych oczu, zanadto mglista jak na bohaterkę i ofiarę. Zuzia, typ pokojówki takiej pani, jak hrabina nie pozostawia nic do życzenia. Niech tylko autorka unika zbyt plastycz-

nego przedstawia namiętności, niezgodnych ani z właściwem przeznaczeniem poezyi, nie ciałem ale duchem zaprzątniętej, ani w usposobieniu ogółu nie lubującym się w podobnego rodzaju dosadnej plastyce. Moda dzisiejsza, bo to modą nazwać należy, gwałtem ową plastykę wciska w utwory tak poetyczne jak powieściowe jedynie młodych pisarzy: jest to tylko dowodem nieznajomości zupełnej naszej literatury, potrzeb społecznych, gustu zamiłowań i ślepego naśladowania literatury francuzkiej nie ożywionej duchem nam właściwym. Praktyka i głębsze studya naukowe, ale gruntowne nie powierzchowne, barwę te zetrą z prac początkujących pisarzy, my byśmy radzi aby Autorka już dziś nasze nadzieje urzeczywistniła. Z tem życzeniem kończymy przegląd utworów poetycznych jej pióra. Nie było naszym zamiarem przedstawiać je jako prace wykończone, w których dodatnie przymioty przeważają ujemne, tylko jako dowody niezaprzeczonego talentu, aczkolwiek nieuporządkowanego, niewyrobionego, zawsze jednak godnego szacunku i skazówek jak się ma rozwijać żeby nie zmarniał, jak się tyle ich u nas zmarnowało już i wielkim krokiem podąża do zaguby. *J. P.*

KORESPONDENCYA Z LONDYNU.

z Lipca.

Obecnie Londyn korzystając z *sezonu*, żyje tylko zabawami, koncertami, bankietami i najróżnorodniejszemi rozrywkami i uciechami. Polityka zeszła na drugi plan, i nawet owa rozmowa parlamentarna między lordem Russell i hrabią Derby, więcej zajmowała prassę europejską, a szczególniej francuzką, niż publiczność angielską. Jestem przekonany, że gdyby Tamiza wyrzuciła na swe brzegi nowego Jonasza, i ten wychodząc z brzucha wieloryba, zaczął przepowiadać wielko-brytańskiej Niniwie zupełną zagładę, jeżeli się nie upamięta i nie zwróci na drogę żalu i pokuty; nie zwróconoby na niego żadnej uwagi, choć przecie Anglicy lubią nadzwyczajność. Ale cała cztero milionowa ludność nowego Babilonu tak się rozszalała, iż nie chce myśleć teraz o niczem prócz zabawy.

Nie spisałbym na wołowej skórze odbytych w ubiegłym kwartale wyścigów, uroczystych bankietów, przeróżnych wystaw, najrozmaitszych przedmiotów sztuki, koncertów, i corocznych meetingów, odbywanych przez stowarzyszenia religijne i świeckie, z resztą w ogóle nie przedstawiałyby one żadnego interesu dla poza-angielskich czytelników. Wspomnę więc o tych tylko, które jako odnoszące się do dzieł sztuki lub literatury, mogą budzić pewne zajęcie.

Najpierw tedy powiem Wam o bankiecie Królewskiej Akademji malarstwa. Panowie artyści mogą się pochlubić, że przy stole ich zajęli miejsca najznakomitsi dostojnicy trzech połączonych królestw; rodzina królewska, arystokracya, parlament, urzędnicy, potentaci giełdy, duchowieństwo, jednem słowem wszystkie stany miały tu swoich przedstawicieli.

Przewodniczył zebraniu Sir Francis Grant; po prawej jego stronie zajął miejsce książe Wallii. Najpierw z prawdziwie dworską grzesznością wypowiedział słowa uznania i powinszował wszystkim wystawcom, a następnie unosił się szczególniej nad numerem 23-cim, nie wymieniając wszakże nazwiska autora obrazu. „Jest-to jak mi mówiono — dodał książe — dzieło młodej, 23 letniej panny, a obraz ten zapowiada nam pierwsorzędną artystkę.“ Po nim przemówił książe Cambridge; ten większe jeszcze, niż królewski jego siostrzeniec wygłosił pochwały, mówiąc; iż zdaje mu się że niepodobna lepiej zrozumieć i uwydatnić „specyalność“ żołnierza.

Rzecz prosta, że pochwały spadające od stopni tronu, od razu wielką popularność zjednały artystce.

Numer 23 jest-to obraz Elżbiety Tomson przedstawiający przegląd pułku gwardyi w Krymie, nazajutrz po stoczonej bitwie. Wszystkie fizyognomie, począwczy od osiwiałych wojaków do świeżo zaciągniętych rekrutów, oddane są wybornie, że tak powiem, w rodzaju malowniczego realizmu. Nie jest-to jednak pierwszy tego rodzaju obraz tej artystki tylko, że ostatni dostawiony na wystawę, pod każdym względem przewyższa poprzednie.

Wielkie pochwały z ust następcy tronu i naczelnego wodza wojsk angielskich wielki rozgłos zjednały młodej artystce; stała się „lwicą“ obecnego sezonu. Szczęśliwy ten śmiertelnik który może się pochlubić że ją zna osobiście! a iluż to pytaniami zostaje zarzucony.... Czy to panna, czy mężatka? czy ładna, czy brzydka? blondyna czy brunetka? z jakiej pochodzi rodziny? jakie są życia jej dzieje? i t. d. i t. d. Nie znając prawdy, ciekawi robią najdziwaczniejsze przypuszczenia, jak to zwykle bywa, najzupełniej niezgodne z prawdą. Ztąd zaczęły się najróżniejsze rozchodzić pogłoski, czem zniecierpliwiony ojciec artystki podał ogłoszenie do gazet, z którego przytaczam najgłówniejszy ustęp.

„Jakkolwiek uczuwam nieporównany wstręt występować w roli *Ojca debiutantki*, jednak chcąc położyć koniec najniedorzeczniejszym baśniom, oznajmiam raz na zawsze wszystkim, którzy raczą tak bardzo zajmować się moją córką: Że nigdy nie była mężatką; że nie jest, nie była i nigdy nie będzie i nie może być dozorczynią szpitala wojskowego; że w życiu jej żadne przygody nie miały miejsca, od lat dziecinnych nigdy nie opuszczała domu rodzicielskiego i żyje spokojnie na łonie rodziny, cichej i spokojnej, a zarazem dumnej z jej coraz więcej rozwijającego się talentu.“

Nie zapomniano zaprosić na ten bankiet tegorocznego „lwa“ wojskowego, sir Garneta Walseley, a książe Wallii wniósł zdrowie zwycięzcy Aschantów i dzielnych jego towarzyszy broni, kładąc nacisk na zasługi sztabu głównego, pojmującego dobrze, że wojskowym nauka jest równie potrzebną jak odwaga.

Trzeci toast dostał się literatom, w osobie sir Stirling Marwell, a który jest znakomitym pisarzem (jako krytyk dzieł sztuki) i posiada bogate zbiory.

W odpowiedzi na uczyniony mu zaszczyt, sir Stirling uwydatnił nader dowcipnie 4 zobopólne obowiązki artystów i pisarzy, wzajemnie z utworów swoich czerpiących natchnienia, jak tego dowodem że najsłynniejsze arcydzieła malarskie, są „illustracyami“ do utworów Homera i Wirgiliusza, Szekspira i Dantego, etc. Poczem zawiadomił, że Florencya zaprasza artystów i literatów na dzień 6 marca 1875 roku, jako czterech setną rocznicę urodzin Michała Anioła.

Dalej przemawiał jeszcze pan Disraeli, jako minister i literat zarazem, unosił się nad sztuką hiszpańską i włoską, i przyznając, że dziś jeszcze Londyn nie może współzawodniczyć z Rzymem i Florencyą, chwalił rząd, że popiera artystów narodowych, i oznajmił, że obecnie istnieje już szkoła angielska, a obrazy tej szkoły nawet na stałym lądzie wysoko są cenione.

Doroczny bankiet „Royal Litterary Fund“ (królewska kassa literacka) nie dorównał świetnością bankietowi Akademji malarstwa. Najwybitniejszą mowę powiedział prezydujący, lord Colderidge, w której winszował rzeczypospolitej literackiej, że w jej szeregach stanęła jedna jeszcze ukoronowana autorka, królowa Wiktorya, ta Artemiza angielska, która wierna swemu żalowi i żałobie, wzbogaciła Anglię daleko wspanialszym pomnikiem, niż mauzobum króla Karyi. Dalej mówca winszował tak królowej jak współziomkom, że podczas obecnego panowania, zajaśniała Anglii jej najświetniejsza gwiazda poetycka (the greatest english poetess) mistres Elżbieta Barrel Browning.

Mistres Browning znakomita autorka *Aurory Leigh* i kilku innych poematów umarła już od lat kilku. Z dziś żyjących poetek angieskich najpierwsze zajmuje miejsce Jerzy Elliot, autorka legendy *Jubal*, chociaż bez zaprzeczenia stoi ona wyżej, jako romansopisarka, niż jako poetka,

D. c. n.

Wiadomości biblijograficzne.

Podając czytelnikom naszym w *Przeglądzie literackim* sprawozdanie i ocenę ważniejszych książek polskich, mianowicie też takich, które treścią swoją budzą powszechne zajęcie, w niniejszym dziale zamieszczać jedynie będziemy krótką wiadomość o wyszłych na widok publiczny książkach polskich, bądź w Warzawie bądź za granicą, nadmieniając o ich treści i cenie, aby tym sposobem ułatwić niejednemu nabycie książki, której potrzebuje, a w każdym razie przybliżone dać wyobrażenie o ruchu wydawnictwa naszego. Naturalnie, że dzieła specyjalne, jak np. lekarskie, wyłączamy tu, jako obchodzące jednostki tylko, nie zaś ogół czytających.

— Zasłużony profesor Uniwersytetu Krakowskiego, Dr. Karol Mecherzyński wydał w zeszłym roku Historyję literatury polskiej w krótkim zarysie, jako przeznaczoną dla uczącej się młodzieży. Obecnie nakładem Himelblana księg. Krak. wyszły do powyższej książki *Wypisy i wzory z najcelniejszych poetów i prozaików polskich* i t. d. Jest-to książka gruba, o 800 przeszło stronnicach, właściwe zajmuje miejsce pod względem pedagogicznym obok prac Łyszkowskiego, Łukomskiego, Cegielskiego i Rymarkiewicza. W księgarni pp. Gebethnera i Wolffa w Warszawie książka ta kosztuje rs. 1 kop. 80.

— W dalszym ciągu *Systematycznego kursu nauk* p. Augusta Jeskiego, wyszły z pod prasy następujące książki: *Równianka* czyli zbiór powiastek do opowiadnia dzieciom od lat 3 do 7; *Gieografija* kurs I dla dzieci od lat 9 do 12 zdrzeworytami w tekście (kop. 45). *Wypisy polskie*, Stopień I (kop. 65). O tych tak ważnych pracach pedagogicznych w „Przeglądzie literackim” w niedługim czasie obszerniejsze zamieścimy sprawozdanie.

— Nakładem księgarni i wydawnictwa „Czytelni ludowej” Al. Nowoleckiego w Krakowie wyszły na widok publiczny nowe książki: *Jak Mama maleńkiego Jasia religii uczyła?* przez X. Waleryana Serwatowskiego: *O poznawaniu temperamentów dzieci*, w zastosowaniu do wychowania dla rodziców, opiekunów wychowawców i nauczycieli szkół ludowych ułożył i napisał Lucyan Falkiewicz b. nauczyciel prywatny w Warszawie.

— *Opowiadanie o nieskończoności* p. Kamilla Flamiriona, przełożył i wydał Hieronim Kuczalski. Książka poważna i zajmująca. Edycya staranna. Cena rs. 1 kop. 50.

— *Astronomia* p. Dr. Fryd. *Schoedlera* tłomaczenie profes. Wermińskiego wydanie 2-gie. Jest-to oddzielnie wydana jedna część znanego dzieła *das Buch der Natur*, której główne części mamy w przekładzie polskim wydanym staraniem księgarni Gebethnera i Wolffa (cena kop. 60).

—Znane czytelnikom „Biblijoteki Warszawskiej” studyum estetyczne p. Bolesława Wilczyńskiego wyszło nakładem tejże Biblioteki oddzielnie p. t. *Moniuszko i sztuka muzyczna narodowa*. Cena rs.

Do dzisiejszego N-ru Tygodnika Mód dołącza się dodatek z drzeworytami.

Druk E. Skiwskiego, w Warszawie, Elektoralna Nr 758 (28 nowy). Дозволено Цензурою. Redaktor i Wydawca **J. K. Gregorowicz.**

Dodatek.